

Moi przodkowie

Dawniej ważne dla ludzi było pokrewieństwo, tzn. ile człowiek miał z innymi „wspólnej krwi”. Bowiem, tylko większa grupa ludzi – rodzina, czy ród oparty na związkach „krwi” – dawała możliwości wsparcia i opieki. Przecież nie było, w tamtych czasach prądu, gazu, centralnego ogrzewania, bieżącej wody, ciągników i innych maszyn rolniczych, nawozów sztucznych, piekarni, masarni, mleczarni itd. Nie było emerytur, ubezpieczeń i publicznej opieki medycznej. Gdy spotkało kogoś nieszczęście i została wdowa z gromadką dzieci można było liczyć tylko na pomoc rodziny. Na całe szczęście rodzina była blisko – nikt w zasadzie nie wyjeżdżał dalej niż do sąsiedniej wsi. Była także bardzo liczna, gdyż oprócz dużej liczby dzieci zaliczało się do niej też ludzi posiadających nawet nieduży procent „wspólnej krwi”. Jak piszą etnografowie było około 30 określeń na bliższe i dalsze pokrewieństwo. Mieszkańcy małych miasteczek, których rodziny zamieszkiwały tam od kilku wieków, zapewne były z sobą wielorako spokrewnione.

Na skutek wojny, szczególnie tej drugiej, i powojennego rozproszenia rodzin po Polsce, a nawet świecie, więzy te zostały osłabione—a często zerwane. Znamy jeszcze swoich ciotecznych i stryjecznych braci i siostry (nazywamy ich kuzynami—kiedyś kuzyni byli dalecy krewni), ale często nie wiemy nawet, ile oni mają dzieci i jak się one nazywają. A przecież nasi cioteczni czy stryjeczni bracia i siostry należą do najbliższej rodziny, mają z nami 50 % tej samej krwi. Nigdy się nad tym nie zastanawiamy, ale tak jest naprawdę. Dwie siostry dziedziczą od swoich rodziców 100% tej samej „krwi”—ich dzieci mają jej po 50% od matek. Drugie 50 % od ojca. Oczywiście „krwi” według ówczesnych kryteriów – gdyż o genach nikt jeszcze wtedy nie wiedział.

Utrwalone przez wieki nazwy pokrewieństwa przetrwały bardzo długo, bo jeszcze za czasów mojej młodości ciocią była rodzona siostra matki. Brat matki to był wujek, a jego żona była wujenką. Brat ojca nazywany był stryjem, a jego żona stryjenką. Ich dzieci to stryjeczni siostry i bracia. Zanikała już swiekra—matka męża.

Dzisiaj wszyscy krewni, a nawet obcy ludzie, to ciocie i wujkowie.

* * *

Polskie nazwiska były tworzone bardzo często od nazwy wykonywanego zawodu, zawodu ojca, imienia ojca, lub miejsca zamieszkania..

Najpierw, dość wcześnie, nazywano zapewne ludzi parających się rzemiosłem nazwami ich zawodów, np. szewc, krawiec, stolarz, kowal, bednarz, kołodziej itp., a ich synów, ale także uczniów: Szewczuk, Krawczuk, Stolarczuk, Kowalczuk, Bednarczuk, Kołodziejczuk, lub (czyj to syn, uczeń?): Szewski, Krawiecki, Stolarski, Kowalski, Bednarski, Kołodziejski.

Wiele jest także nazwisk utworzonych od imienia ojca: Zygmunta--Zygmuntowicz, Zygmuntowski; Piotra--Piotrowicz, Piotrowski; Pawła--Pawłowicz, Pawłowski; Wańka – Wańkowicz, od Juśki albo Juszki (dawny Józef) – Juśkiewicz czy Juskiewicz. Od miejsca zamieszkania: Bielański (Bielany), Lubaczowski (Lubaczów).

Także od ułomności--np. Chromy, Garbaty. Czy od sytuacji np. Nowak—mężczyzna nowy we wsi—wżeniony. Powstawały od charakterystycznych cech np. Krzywousty, przezwisk np. Bździuch, czy charakterystycznych zachowań np., Chyży, Mżyk—to stara nazwa zabawy w ciuciubabkę

Pierwsze nazwiska, jako dziedziczne zaczęły się utrzymywać około 300 lat temu. Jednak w XIX w., a zdarzało się to i później nie wszystkie były ostatecznie ukształtowane. Mój prapradziadek podaje do aktu urodzenia córki, że jego żona jest z domu Kalicińska, a w akcie ślubu tejże córki, że Kalita. Niewątpliwie nazywała się Kalita, a mówiono o niej: Kalicicha lub Kalicińska. Występująca w różnych aktach Grela figuruje czasami jako Greluha. Jeszcze w latach 30-tych XX w. i później, na żonę naszego sąsiada Hołoty mówiono powszechnie Hołocicha, a nie Hołotowa. Podobnie było i z datami umieszczanymi w dokumentach. Błażej Kołodziejczyk do aktu chrztu swojego pierwszego syna w 1828 r. podał, że ma lat 22, a jego żona 27. Trzy lata później zaś, do aktu chrztu córki, że ma lat 24, a jego żona 25. W dalszych latach nie było wcale lepiej.

KOŁODZIEJCZYKOWIE

Dawne księgi metrykalne parafii w Szczepieszynie przepadły, Nie ma ich Archiwum Powiatowe w Zamościu, Archiwum Wojewódzkie w Lublinie i Akt Dawnych w Warszawie. Można znaleźć dokumenty dopiero z początków XIX w.

Dlatego w tych wspomnieniach ograniczam się tylko do tych przodków, o których istnieją dokumenty, i tylko do linii prostej, pomijając boczne. Akta urodzeń określają ich, ich rodziców i ich żony jako mieszczan, z wyjątkiem Wiktorii Kot, córki rolnika. Byli rzemieślnikami: sukiennikami (do połowy XIX w. Szczepieszyn był dużym ośrodkiem przemysłu sukienniczego – ostatni zakład sukienniczy został zlikwidowany w 1946 r.), rzeźnikami, garncarzami itp. Nie ulega wątpliwości, że któryś z nich zajmował się szlachetnym, starożytnym rzemiosłem: kołodziejstwem.

Nazwa zawodu: kołodziej jest zapewne jeszcze starosłowiańska, bo jest zrozumiała i dla Białorusinów, i dla Ukraińców, i dla Rosjan. W Polsce pierwszy zapis nazwy tego zawodu pochodzi z 1475 r., zaś najstarszy zapis słowa Kołodziejczyk z roku 1603 r. – „Woyciech Kołodziejczyk uczeń”.

Nigdy nie dowiemy się, czy zawód kołodzieja, jak wiele zawodów, przechodził u moich dalekich przodków z ojca na syna. Który go porzucił? Nie znajdziemy też odpowiedzi na pytanie, czy od dawna byli mieszczanami i mieli własny warsztat, czy też chłopami pańszczyźnianymi i pracowali w warsztacie dworskim, a potem się usamodzielnili.

A oto jak w aktach parafialnych zapisani są moi przodkowie w linii męskiej, przy czym znak zapytania (?) oznacza, że nie znam daty urodzenia bądź śmierci:

Kołodziejczyk Walenty (? –?), sukiennik, żonaty z Konstancją Padzińską;

Kołodziejczyk Błażej (1809^{*}–1846^{**}), sukiennik (w akcie zgonu już rzeźnik), żonaty z Agnieszką Wesołowską^{***}, córką bednarza Wojciecha i Katarzyny z Czechońskich;

Kołodziejczyk Franciszek (1828–1910), rzeźnik, żonaty z Antoniną Dębską, córką Szymona i Marianny z Kalitów^{****} – garncarzy;

Kołodziejczyk Jan Wincenty (1867–1943), masarz, żonaty z Wiktoria Kot, córką rolnika Wojciecha i Marianny Patro;

Kołodziejczyk Roman (1904–1995), nauczyciel, żonaty z Stefanią Bielańską, nauczycielką;

Oraz ja---Kołodziejczyk Romuald Janusz (ur. 1930), ekonomista, żonaty z Ursulą Mżyk, nauczycielką;

Kołodziejczyk Janusz Romuald (1956–1985), mój syn;

Kołodziejczyk Mariusz (1961–1961), mój syn.

* Różne daty urodzenia w różnych dokumentach: 1806, 1807, 1808, 1809.

** Według legendy rodzinnej zmarł po ugryzieniu go przez „gada” (żmiję?).

*** Różne daty urodzenia: 1801, 1806, 1807.

**** W innych dokumentach wymieniana jako Kalicicha, Kalicińska.

Wśród teściowych ww. Kołodziejczyków przewijają się takie nazwiska jak: Wiśniewska, Drabik, Grygiel, Panas czy Grela, wymieniana w innych dokumentach jako Grelucha.



Mój pradziadek, Franciszek Kołodziejczyk (1828–1910).

Ojciec mój opowiadał o jakieś niejasnej rodzinnej legendzie, wg której Kołodziejcykowie przywędrowali do Szczepieszyna ze Śląska za Kościuszki. Jurek Kołodziejczyk, niespokrewniony z nami, ale też ze Szczepieszyna, słyszał od swego ojca coś podobnego, tylko bez Kościuszki. Za mojej pamięci mieszkali w Szczepieszynie przynajmniej cztery rody Kołodziejczyków. Żaden z nich nie był uważany za naszych krewnych, myślę, że każdy był z „innej kołodziejni”. Jeżeli więc mieliśmy wspólnego przodka, to raczej wcześniej niż „za Kościuszki”. Był to zawód popularny, ponieważ nie było wtedy ani kolei, ani samochodów, a cały transport ludzi i towarów odbywał się „trakcją konną”. Potrzeba było dużo furmanek i bryczek, i związanych z tym kołodziejów.



Moi dziadkowie, Jan Wincenty i Wiktoria Kołodziejcykowie około 1910 r.

Nie mogłam niestety prześledzić, czy moi dziadkowie, Jan Wincenty i Wiktoria z Kotów, mieli rodzeństwo. Podobno dziadek miał pięciu braci, w tym jednego kowala, który tuż po wojnie osiedlił się na krótko w Szczepieszynie. Babka miała, co najmniej jedną siostrę i brata. Siostra ta wyszła za mąż za Kimaczyńskiego i była matką trzech synów: Stanisława, właściciela księgarni w Szczepieszynie, Zygmunta profesora chemii na toruńskim uniwersytecie, i trzeciego, profesora w Akademii Muzycznej w Warszawie.

Dziećmi pierwszego z nich, Stanisława, byli Zygmunt, nauczyciel muzyki we Wrocławiu, i Krystyna, żona wziętego adwokata Niechaja, długoletnia nauczycielka liceum w Szczepieszynie.

Imię jednego z braci dziadka poznałem w tragicznych okolicznościach. Na kilkadziesiąt minut przed śmiercią nieprzytomny dziadek podniósł lekko głowę i wpatrzony w drzwi tak jakoś wesoło powiedział: „O, Piotruś przyszedł”. Było to imię jego starszego, nieżyjącego już brata. Miałem wtedy 13 lat i zrobiło to na mnie straszne wrażenie, tak zresztą jak i na całej zebranej rodzinie.

Najbliższa rodzina mieszkająca w Szczepieszynie, którą znałem osobiście, to dziadek Jan Wincenty Kołodziejczyk (zwany Wincenty, Wicuś) i babcia Wiktoria, ich dzieci z małżonkami oraz ich wnuki – moi cioteczni bracia i siostry:

ich dzieci			
Natalia (1892–1982)	Marianna (1899–1981)	Roman (1904–1995)	Genowefa (1905?–?)
mąż: Jan Kapeć (1887–1961)	mąż: Wincenty Szyduczyński (1895– 1961)	żona: Stefania Bielańska (1906–1989)	mąż: Aleksander Czechoński (1901–1950)
i wnuki			
Eugenia Zdziarska (1916–1977)	Stanisław (1920?–?)	Romuald ur. 28.05.1930 r.	Ryszard (?–?)
Henryk (1918–2000)	Halina Nosewicz (1922?–?)	Teresa Szumigaj ur. 23.01.1936 r.	Izabela ? (?–?)
Adam (1920–2002)	Barbara Bubeło (?–?)	Elżbieta Kalinowska ur. 23.11.1937 r.	Wiesława ? (?–?)
Izabela (?–?)		Irena Łowczyńska ur. 17.01.1944 r.	

Bardzo lubiłem dziadka Wincentego. Średniego wzrostu, krępy, powolny, zawsze spokojny, rzadko uśmiechnięty. Był, jak wielu w Szczepieszynie, trochę rzeźnikiem, trochę murarzem, trochę rolnikiem. Miał około 2 morgów pola w kilku kawałkach przy drodze na Szperówkę. W czasie żniw jeździło się naszymi końmi, aby zwieźć mu plony, kilka kop zboża. Miał małą stodołę na swoim ciasnym podwórku za domem, przy dzisiejszej ulicy Zamkowej 5. Często zachodziłem do niego i widziałem, jak młócił to zboże cepem. Miał jakąś wadę w kolanie i czasami stawał, zakładał jedno kolano pod drugie tak, że to pod spodem było unieruchomione, i robił skręt tułowia, jak gdyby naciągał sobie w tym znajdującym się pod spodem kolanie jabłko. Może chodziło o skurcz mięśni. Często przychodził do nas na Szlakówkę. Pamiętam go, jak spokojnie i powoli je z nami obiad, robi coś w polu, lub sprawnie, bez pośpiechu „sprawia” zabita świnię, robi z niej różne wyroby, wędzi szynkę itp. Nie pił alkoholu. Domem rządziła babcia Wiktoria, lecz dziadek nie był pantoflarzem. Umierając w wieku 77 lat, był silny – podnosił na plecy worek z kilkudziesięcioma kilogramami zboża. Za późno rozpoznane zapalenie płuc zmiotło go w ciągu kilku dni, na dwa lata przed pojawieniem się w Polsce penicyliny.

Gdy patrzę na naszego ojca, jego siostry i wszystkie ich dzieci, to chyba nikt z nich nie odziedziczył po dziadku Wincentym ani jego krępej postury, ani ciemnych włosów, powolności, wiecznego spokoju, małomówności.

Za to na pewno dużo odziedziczył nasz ojciec, jego siostry i niektóre z dzieci po babce Wiktorii. Gadatliwość, nerwowość, szybkie działanie, szybkie

chodzenie. Chodziła o lasce, gdyż miała sztywną nogę po jakimś bliżej mi nieznanym wypadku, a mimo to trudno było dotrzymać jej kroku. Odnosiłem wrażenie, że każdego dnia musiała odwiedzić swoje czworo dzieci, aby wymienić z nimi wszystkie usłyszane wiadomości.

Kołodziejcykowie żyli na ogół długo. Nie wiemy, ile lat żył Walenty. Jego syn Błażej zmarł tragicznie w wieku około 40 lat. Następny, Franciszek, żył jak na tamte czasy długo, bo aż 82 lata. Dziadek Jan Wincenty zmarł, jak to wyżej opisałem, w wieku 77 lat, w pełni sił. Ojciec Roman żył prawie 92 lata, do ostatka w dobrym zdrowiu. Mieszkał samotnie, nie chciał dłużej przebywać u żadnego z dzieci, pomagała mu dochodząca pielęgniarka, był samowystarczalny w zaopatrzeniu w żywność, węgiel itp. Sam gotował i palił w piecach. Zmarł po 3-tygodniowym pobycie w szpitalu, przywieziony tam przez karetkę po upadku na śliskiej jezdni i uderzeniu głową o bruk.

O ich żonach wiem tylko, że Antonina Dębska, żona Franciszka, żyła tylko 50 lat, osierocając 13-letniego Jana Wincentego. W dwanaście lat po jej śmierci 64-letni Franciszek ożenił się powtórnie z 59-letnią wdową (od 2 lat), Franciszką Kitą, córką Jana Rabińskiego i Marianny Tracik.

Żenili się, jak wszyscy w tym czasie, młodo. Błażej i jego żona Agnieszka Wesołowska, gdy mieli po około 20 lat. Franciszek, mając 21 lat, z 19-letnią Antoniną Dębską. Jan Wincenty w wieku 24 lat z 19-letnią Wiktorią Kot. Roman, mając 25 lat, z 23-letnią Stefanią Bielańską.

BIELAŃSCY

Mój dziadek, ojciec mojej mamy Jan Bielański, według zapisu w zapowiedziach kościelnych przed ślubem, pracował jako woźny sądowy. Nazwa funkcji pochodzi od wożenia pozwów, wyroków, zbierania grzywien sądowych itp. w czasach, kiedy nie było jeszcze poczty, kolei, autobusów itd. Jeszcze dzisiaj, o czym niewiele wie, jest w sądach polskich takie stanowisko—pracownika czy kierownika kancelarii. Jednak woźny w tamtych czasach miał szerszy zakres czynności, bliższy Mickiewiczowskiemu Protazemu – Woźnemu z „Pana Tadeusza”:

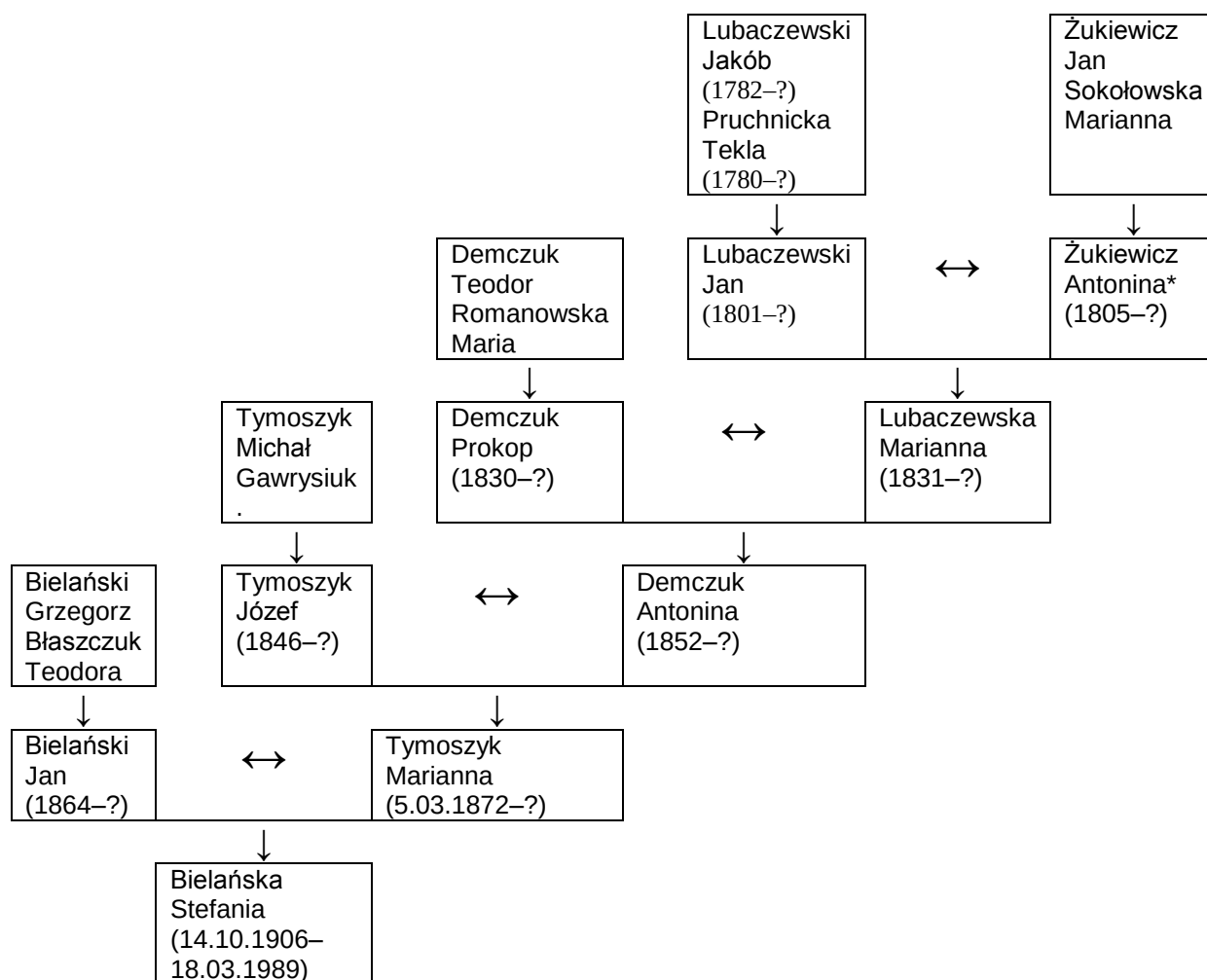
„Protazy, choć człek śmiały, uczuł nieco strachu,
Bo przypomniał [...]
Różne swoje dawniejsze woźnieńskie przypadki [...]
Jako raz zapozwany szlachcic z Telsz, Dzindolet
Rozkazał mu, oparłszy do piersi pistolet,
Wleźć pod stół i ów pozew psim głosem odszczekać,
Że Woźny musiał co tchu w konopie uciekać.
Jak później Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały,
Co rozpędzał sejmiki, gwałcił trybunały,
Przyjawszy urzędowy pozew, zdarł na sztuki
I postawiwszy przy drzwiach z kijami hajduki,
Sam nad Woźnego głową trzymał goły rapier,
Krzycząc „Albo cię zetnę, albo zjedz twój papier!”
Woźny niby jeść zaczął, jak człowiek roztropny,
Aż skradłszy się do okna, wpadł w ogród konopny. [...]
Pamięć spraw wielkich, wszystkie procesu wypadki,
I stają mu przed oczy sąd, strony i świadki;
I ogląda sam siebie, jak w żupanie białym,

W granatowym kontuszu stał przed trybunałem,
 Jedną ręką na szabli, a drugą do stoła
 Przywołałszy dwie strony: „Uciszcie się!” woła.
 Marząc i kończąc pacierz wieczorny, pomału
 Usnął ostatni w Litwie Woźny trybunału”.

A oto jak sam Mickiewicz objaśnia funkcje woźnego w przypisach do „Pana Tadeusza”: „Woźny albo jenerał wybrany uchwałą trybunalską lub sądowniczą ze szlachty osiadłej, roznosił pozwy, ogłaszał intromisję, robił wizje, przywoływał aktoraty etc. Pospolicie drobna szlachta urząd ten sprawowała”.

Takie czynności jeszcze w okresie międzywojennym w sądzie grodzkim w Szczepieszynie spełniał pochodzący ze szlachty woźny sądowy, Antoni Bronikowski. Opowiadał mi jego syn Marian, mój przyjaciel od lat szkolnych, że funkcja woźnego była absorbująca, z uwagi na przyjmowanie wielu interesantów, przeglądających materiały, proszących o przyspieszenie terminów, podających nowych świadków lub dokumenty, a także wysyłanie i przyjmowanie obfitej korespondencji od stron, świadków i adwokatów. Woźny ustalał także, w porozumieniu z sędziami, terminy i kolejność rozpraw.

Oto przodkowie mojej mamy:



Zwraca uwagę zawieranie małżeństw w młodym wieku. Prokop Demczuk miał w dniu ślubu 18 lat, Jakub Lubaczewski też 18, Jan Lubaczewski 20, Marianna Lubaczewska 17, Tekla Próchnicka 20, Antonina Żakiewicz 16, Antonina Demczuk 18. Dat ślubu Jana Żukiewicza i Marianny Sokołowskiej nie znamy.

Mama i jej siostry mówiły, że w rodzinie krążyły wieści o pochodzeniu Bielańskich z rodziny „kniaziów”, czy raczej „kniażików”, których to tytułów w średniowieczu używali „szefowie” licznych, niewielkich społeczności na Rusi i Litwie. Potem z niektórych z nich wyrosły wielkie rody książęce.

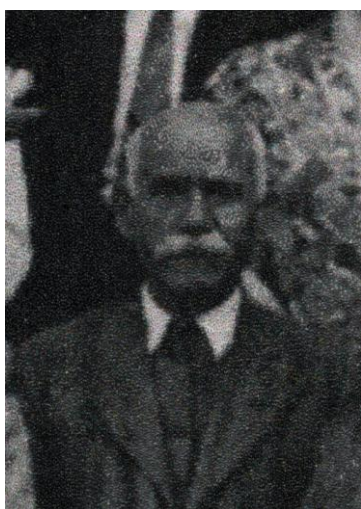
Trzeba mieć nadzieję, że Bielański nie musiał (jak to około siedemdziesięciu lat wcześniej opisał Mickiewicz), roznosząc pozwy, uciekać w konopie przed rozzłoszczonym szlachciurą. Pod koniec XIX i na początku XX wieku w zaborze austriackim rozwożeniem przesylek sądowych zapewne przejęła już poczta. Ale mogły być i takie, których ówczesna poczta nie mogła dostarczyć.

W rodzinie mamy oprócz ojca, dwaj bracia jej matki pracowali w sadownictwie, jeden wujek był adwokatem, a drugi sędzią. W zaborze austriackim, do którego Sokal należał, polskie szkolnictwo było dobrze rozwinięte, dlatego odsetek ludzi wykształconych był tam znaczny.

Z dokumentacją rodziny mojej mamy – Bielańskimi – jest sporo trudności. Tereny, na których mieszkali, po drugiej wojnie światowej zostały włączone do ZSRR, a później do niepodległej Ukrainy. Zaledwie część dokumentów przywędrowała po wojnie do Polski i znajdują się w tzw. Archiwum abp Baziaka, ostatniego metropolity lwowskiego, do której to diecezji należał Sokal. Reszta nie wiadomo gdzie jest--jeśli jeszcze istnieje.

Aktu ślubu moich dziadków Jana i Marii Bielańskich w „archiwum abp Baziaka” nie ma. Znajduje się tylko zapis w „indeksie zaślubionych” pod nr 34, pozycja 8: „Bielański Jan--Tymoszyk Marianna 13/XI 1892 r.”. W dniu ślubu Jan Bielański miał 28 lat, a Maria Tymoszyk 20.

Rodzice Stefanii Bielańskiej, a moi dziadkowie:



Jan Bielański w 1929 r.
w wieku 65 lat



Maria Bielańska w 1913 r.
w wieku 41 lat

Z powodu braku dokumentów trudno także ustalić, od jak dawna rodzina Bielańskich zamieszkiwała w Sokalu. Może krótko, gdyż nazwiska sugerują, że Bielański pochodził z Bielani, Lubaczewska z Lubaczewa, Żukowicz to syn Żuka, Pruchnicka z Pruchnika, a Sokołowska z Sokołowa.

Jana Bielańskiego, mojego dziadka, pamiętam nieco ze swoich trzech pobyków w Sokalu: pierwszego w 1937 r., gdy miałem 7 lat, i dwukrotnego w 1943 r., gdy miałem lat 13. Średniego, a może nawet niskiego wzrostu, łysy, z niziutko położonym wianuszkciem siwych, krótko ostrzyżonych włosów. Nie był wielkiej tuszy, ale i nie chudy. Żywy, ruchliwy, wesoły, każde dziecko lekko tarmosił za czuprynę. Jego wnuczka Marysia Horodejczuk wspomina, że dzieci z jej szkoły bardzo go lubiły--kiedy przychodził po nią, to opowiadał dzieciom różne ciekawe rzeczy, a ona była dumna, że ma dziadka, który tak zajmująco to robi.

Matka Stefani Bielańskiej, a moja babka Maria Tymoszyk chorowała na serce i zmarła młodo, jak przypuszczam w 1929 r., w wieku 57 lat, gdy na zdjęciu ślubnym moich rodziców wykonanym w tym roku wygląda tak, jak gdyby specjalnie do zdjęcia podniesiono ją z łóżka. Niestety jej aktu zgonu nie ma w „archiwum abp. Baziaka”.

Moje przypuszczenie opieram też na tym, że mama rodziła mnie w Szczepieszynie, gdzie chyba nikogo nie znała, a nie u swojej mamy w Sokalu—gdyż tam, być może, panowała żaloba.

Jan Bielański miał siedmioro rodzeństwa, a sam był piątym dzieckiem: Anna Tomczak, Ksenia Liniewska, Parania Nowosad, Maria Bosek, Jan, Piotr, Michał—wyemigrował do Argentyny i Emilia

Maria Tymoszyk, jego żona, była drugim dzieckiem w rodzinie i miała sześciu rodzeństwa: Katarzyna. Maria, Piotr—sędzia, Michał—adwokat, Jan, Jozef, Mikołaj—nauczyciel w Wetlinie

Dziadkowie, Jan i Maria Bielańscy mieli sześciu dzieci:

Anna	Maria	Jan	Antonina Głazowska	Franciszka Horodejczuk	Stefania Kołodziejczyk
Zmarli jako dzieci			20.05.1901– 2.03.1957	1904–1978	14.10.1906– 18.03.1989

Pierwszych troje dzieci umarło (nie wiem, w jakich okolicznościach) na szkarlatynę.

Antonina, moja matka chrzestna, była nauczycielką. Uczyła najpierw w miasteczku Bełz, stolicy dawnego Księstwa Bełskiego, a potem w Sokalu. Przed wojną ukończyła we Lwowie Wyższe Kursy Nauczycielskie, co pozwoliło jej uczyć po wojnie w Państwowym Gimnazjum i Liceum, a potem w Liceum Pedagogicznym w Szczepieszynie.

Podczas okupacji wyszła za mąż za nauczyciela Ludwika Głazowskiego, który działał w konspiracji i ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem, pracując jako stróż nocny w cegielni koło Sokala. Tuż przed zajęciem Sokala w 1944 r.

przez ZSRR wyjechali do Jarosławia i tam pracowali w oświacie. Niestety trudy konspiracji i związane z tym ciężkie warunki życia zaważyły na zdrowiu Ludwika i spowodowały przedwczesną jego śmierć około 1946 r. Antonina została wdową. Była bezdzietna.



Trzy siostry Bielańskie: Po lewej najmłodsza Stefania Kołodziejczyk, środkowa Franciszka Horodejczuk, i najstarsza Antonina Głazowska

Franciszka wyszła za mąż (ślub odbył się 25.08.1928 r. w Katedrze we Lwowie) za Józefa Horodejczuka, rolnika w Sokalu. Mieli czworo dzieci: Romana, Marię (Kuźmińska), Zbigniewa i Janinę (Dutkowska).

W 1944 r., przed powtórным wejściem Sowietów, Franciszka Horodejczuk z mężem i dziećmi uciekli z Sokala, włączonego do Ukrainy, na drugą stronę Bugu, do przedmieścia zwanego Zabuzem. W Sokalu został osiemdziesięcioletni dziadek, który kategorycznie odmówił wyjazdu, twierdząc, że będzie pilnował domu.

Miał on w Sokalu siostry, które też tam zostawały, bowiem bardzo wielu ludzi sądziło, że jest to tylko stan przejściowy. Sokal w swojej historii należał do Austrii, ZSRR, Niemiec i zawsze wracał do Polski. Dziesiątki lat, nieraz aż do śmierci, tak samo myśleli ludzie wypędzeni z tamtych terenów i osiedleni na Ziemiach Zachodnich. Jak wspomina Marysia Kuźmińska (Horodejczuk), nawet siłą nie można było dziadka zabrać. Nie wiemy, kiedy i jak umarł, choć dotarła wiadomość, bardzo niepewna, że ktoś go widział na łóżku z rozbitą głową.

Niestety, w 1951 r. nastąpiło tzw. wyrównanie granic. Zabuzę wraz ze stacją kolejową zostało przekazane Ukrainie. Powtórzył się los Zaolzia. I tam i tu powodem była linia kolejowa, która z terytorium Ukrainy i Czech wjeżdżała na terytorium Polski, aby po kilku kilometrach wrócić na terytorium krajów macierzystych. W zamian za Zabuzę otrzymaliśmy trochę Bieszczad, z Ustrzykami Dolnymi i Górnymi. Tam przesiedlono ludność z terenów, które odeszły do Ukrainy. Horodejczukowie nie zdecydowali się na wyjazd w góry i przyjechali do nas na Brody.